

Moja walka z rakiem

(2)

Zaraz po Nowym Roku, jak się umówiłem, dokładnie 3 stycznia zjawiam się w szpitalu na oddziale chirurgiczno-urologicznym z torbą, w której mam swoje rzeczy osobiste. Czekam aż skierują mnie na izbę chorych. Cywilne ubranie chowam do torby. Ubieram się w piżamę. Wykładam przybory toaletowe do szafki. I czekam dalszy ciąg. Wkrótce przychodzą pielęgniarki oddziałowe i robią mi badania temperatury, poziomu cukru we krwi itp. Potem mam się wykąpać, przebierać w koszulę przypominającą ubiór skazańców i wiozą mnie na specjalnym łóżu do sali operacyjnej. Po dokonaniu krótkiej dezynfekcji zaczyna się wżernikowanie. Lekarze oglądają na ekranie stan mego pęcherza moczowego. Niestety, nie jest to przyjemne, ale cóż mam robić, by wrócić do zdrowia. Muszę się poddać wszystkim zaleceniom.

Następnego dnia, wykąpanego i głodnego, ubierają mnie w ten sam strój skazańca i znów pakują na to samo Madejowe łóżo i wiozą na salę operacyjną. Tam się rozpoczyna przygotowanie do zabiegu. Na wszystko wyraziłem wcześniej pisemną zgodę: na znieczulenie i wszystkie czynności z tym związane. Od rana jestem pod nadzorem anestezjologa i jego pomocnic. Czuję, jak moje ciało od pasa w dół staje się powoli bezwładne. Potem zabierają się za mnie chirurdzy urodziny, dr dr K. i S. Widzę, jak są nade mną pochyleni, słyszę, jak rozmawiają ze sobą i dyskutują. Pewnie widzą wszystko na ekranie, co jest w pęcherzu. Niestety, ja tylko oglądam pochylone nade mną głowy, nic więcej. Po zabiegu pielęgniarki przekładają moje bezwładne ciało w stroju skazańca na to samo łóżo Madejowe i wiozą na salę chorych. Przekładają z łóża na łóżko. Zaraz też podłączają do różnych rurek, z których do mego organizmu, a konkretnie do pęcherza, dostają jakieś płyny. Drogami moczowymi spływa też do worków mocz silnie zabarwiony krwią. Ze mną na pododdziale urologicznym, leży tylko jeszcze jeden pacjent. Jestem unieruchomiony, co nieco mogę poruszać tylko rękami. Całe ciało jest bezwładne. Wyglądniaty i zmęczony zabiegiem zasypiam. W południe przychodzą lekarze: najpierw anestezjolog, dr Z., by sprawdzić mój stan, potem chirurg dr S., który dokonywał zabiegu, a wieczorem podczas wizyty prowadzący lekarz dr. K. Pytają o samopoczucie i mówią o przebiegu operacji. Dowiaduję się, że nie jest z moim pęcherzem dobrze: jeden guz został częściowo usunięty, ten najbardziej rozrośnięty, ale jeszcze jeden, ten mniejszy, pozostał, bo nie mogli się do niego dostać. Ale o wszystkim zadecyduje czas. Moje komórki nowotworowe zostały wysłane do zakładu histopatologii. Muszę czekać 2-3 tygodnie na wyniki. Leżę jeszcze w szpitalu parę dni. W poniedziałek zostaję wypisany i wracam do domu. Ulice są zaśnie-

żone. Idzie mi się bardzo ciężko. Ale po drodze chcę wpaść jeszcze do urzędu, bo mam podpisać prośbę o dotację do mojej książki. Kiedy szedłem do szpitala, o tym najwyraźniej zapomniałem. W ręce trzymam torbę z ciuchami, a w jej środku mam receptę i dokumenty, które dał mi prowadzący lekarz, dr K.

Zaraz po powrocie do domu idę do przychodni i wypisuję wniosek o zmianę lekarza rodzinnego. Uzasadniam to krótko lekceważącym stosunkiem B. do pacjenta i jego ignorancją medyczną w opiece nad ludźmi w wieku zaawansowanym. Akurat trafiam na korytarzu na panią dr S. i pytam, czy przyjmie mnie pod swoją opiekę. Mówię też ze spuszczoną głową, dlaczego składałem taką prośbę i dlaczego rezygnuję z B. Przyjmuje to ze zrozumieniem.

Czekam cztery tygodnie na wyniki z histopatologii. Kiedy wreszcie otrzymuję do rąk, od razu zgłaszam się do pokoju lekarzy na chirurgii. Dr K. niestety jest na urlopie. Dr S., który mnie też operował, wyjaśnia mi krótko, co one znaczą, ale mówi mi, że muszę się skontaktować bezpośrednio z dr. K., który jest moim lekarzem prowadzącym, bo taka obowiązuje procedura. Muszę zatem czekać aż dr K. wróci. Trwa to bodajże 2 tygodnie. Przychodzę rano między 8 a 9 na oddział chirurgiczny. Lekarze są podczas wizyty chorych, ale najważniejsze, że jest dr K. Wreszcie widzę doktora na korytarzu i pokazuję mu wyniki z histopatologii. Załatwia sprawę krótko: nie jest źle. Każe mi wziąć pismo z sekretariatu i zarejestrować się na jutrzejszy dzień, bo przyjmuje chorych od 9.00. Idę z pismem do rejestracji, czekam cierpliwie w kolejce, aż docieram do okienka. Pani z rejestracji nie chce mnie przyjąć i na jutrzejszy dzień zarejestrować, bo nie ma podpisu lekarza.

– Jak pójść do niego, gdy on przygotowuje się już zapewne do operacji albo już może operuje. I znów przyjdę i będę czekać? Przecież jest wszystko – wołam oburzony i zdenerwowany. Gdyby sekretarka oddziałowa nie miała dyspozycji lekarza, to skierowania na jutro bym nie dostał – żyjęm się.

W końcu pani rejestratorka zdenerwowana wychodzi z pismem, potem wraca i krzyczy do mnie:

– Jutro rano doktor skierowanie podpisze, ale jak pan się będzie awanturował, to wcale pana nie przyjmie.

No i masz tu babo kłops.

Następnego dnia rano stoję w kolejce, gdzie przyjmuje dr K. Widzę, że coraz więcej ludzi przybywa, a ja nadal nie jestem pewny, czy mnie doktor przyjmie. Idę na górę na oddział, ale doktor jest zajęty. Boję się, że ucieknie mi kolejka i wracam na dół pod gabinet. Tłum coraz większy. Po godzinie zjawia się dr K. i zaczyna przyjmować. Idzie to nawet szybko. Ciągle, co 15-20 minut – muszę wchodzić do toalety. Akurat w tym czasie, jak się okazało, wyczytują moje nazwisko. Gdy tylko opuści gabinet ostatni pacjent, mówię, że byłem wyczytywany, ale musiałem iść za potrzebą. Niestety. Doktor spojrzał na mnie podpisał wczorajsze skierowanie, a jednocześnie powiedział:

– Przyjmę pana na końcu, bo ci wszyscy czekają już na mnie od 3 miesięcy.

– Podporządkuję się, panie doktorze, choć to jest akurat moja kolejka, którą zająłem dziś rano – odpowiadam.

Ale już więcej nie dyskutuję i wychodzę z gabinetu i czekam cierpliwie na koniec. Przede mną jest jeszcze trochę ludzi, ale moje emocje i niepewność opadły. Wiem już, że będę dziś przyjęty, nieważna godzina. Nauczyłem się już cierpliwie na wszystko czekać.

Mirosław Osowski



Rys. Sławomir Łuczyński



Małgorzata Łaskawiec

zjawiska

jesteśmy zjawiskami
jak gwiazdy które
jaśnieją spadają i gasną
jesteśmy jak zapach kwiatu
który rozciąga swoją woń
by z wiatrem ulecieć

jesteśmy jak blask
co gaśnie w środku dnia
i jak mgła co przemija o świcie

